

Łukasz Warzecha: Ostrożnie z wolnością słowa – i demonstracji!

Reguły, zgodnie z którymi można ograniczyć swobodę wypowiedzi, a więc również swobodę demonstracji, powinny być maksymalnie czytelne



Reguły, zgodnie z którymi można ograniczyć swobodę wypowiedzi, a więc również swobodę demonstracji, powinny być maksymalnie czytelne

Czy potrzebna nam jest nowelizacja Ustawy o zgromadzeniach? Odpowiedź twierdząca, jakiej udzielił Pałac Prezydencki czy stołeczny ratusz zaraz po wydarzeniach 11 listopada, jest z pewnością zbyt

pochojna, a projekt zmian pojawił się podejrzanie szybko. W komentarzach mało kto jednak zdaje się pamiętać, że nie mówimy o przepisach, regulujących rybołówstwo albo procedury układania chodników, tylko o jednej ze spraw najważniejszych w demokracji, a także budzących największe kontrowersje – także na poziomie metapolitycznym: o wolności słowa, której jednym z wariantów jest wolność zgromadzeń. **Wszelkie manipulacje przy przepisach, regulujących kwestię wolności słowa, powinny być jak najrzadsze, zaś wszelkie ewentualne ograniczenia powinny być poprzedzone autentyczną dyskusją i głębokim namysłem nad tym, czy są faktycznie niezbędne.** W tym wypadku mieliśmy całkiem inne podejście: natychmiastowe przedstawienie z nikim nie konsultowanych pomysłów, z ewidentną nadzieją, że pomysły te, niesione falą niezadowolenia z przebiegu demonstracji 11 listopada, zyskają akceptację. Jest to tym dziwniejsze i budzi tym większe podejrzenia, że obecne prawo wydaje się zawierać wystarczające instrumenty, aby zapewnić porządek publiczny. Problemem – jak to często bywa – jest sposób jego stosowania oraz zachowanie służb.

Niektórzy twierdzą wręcz, że przebieg zdarzeń 11 listopada nie był przypadkowy, a celem rządzących było od początku sprowokowanie wypadków, które uzasadniłyby ograniczenie swobody wystąpień. Niezależnie od tego, jaki jest nasz stosunek do takich teorii, pospieszne prace nad nowelizacją z pewnością powinny niepokoić.

W przypadku wolności słowa mamy do czynienia z wieloma paradoksami i starciami racji. **Ot, choćby ze starciem prawa do swobody wyrażania poglądów z dbałością o porządek publiczny.**

Mamy też inne reguły, które ograniczają prawo do swobody wypowiedzi – na przykład zakaz nawoływania do przemocy albo pochwalania systemów narodowosocjalistycznego lub komunistycznego.

Reguły, zgodnie z którymi można ograniczyć swobodę wypowiedzi, a więc również swobodę demonstracji, powinny być maksymalnie czytelne. Czytelna byłaby na przykład postulowana reguła, że w przypadku zarejestrowania jakiejś demonstracji, inne nie mogą być rejestrowane w jej pobliżu albo na jej trasie. Decydowałoby pierwszeństwo zgłoszeń (taki postulat przedstawiał stołeczny ratusz).

To oczywiście też może tworzyć patologie. Można sobie wyobrazić sytuację, w której w pierwszym możliwym terminie przed 11 listopada 50 lewicowych stowarzyszeń pojawia się w ratuszu, aby zarejestrować swoje demonstracje w każdym możliwym miejscu w mieście i uniemożliwić w ten sposób „drugiej stronie” zorganizowanie własnego pochodu. Problem w tym, że przy nieakceptowaniu przez obywateli pewnych podstawowych zasad – choćby takiej, że skoro każdy ma prawo do wyrażania swoich poglądów, to nie będziemy nikogo celowo blokować, a ewentualną ocenę poglądów, jakie inni chcą zademonstrować, pozostawiamy sądom – niemal każdy przepis może być wykorzystany w taki sposób.

Nie jest z kolei czytelną regułą zakaz „nawoływania do nienawiści”, bo tu zakres interpretacji jest olbrzymi. Skoro jedna z reporterek TVN była w stanie zinterpretować hasło „Bóg, honor i ojczyzna” jako agresywne, to właściwie wszystko jest możliwe. Wątpliwości z liberalnego punktu widzenia mogą budzić także zakazy pochwalania systemów nazistowskiego i komunistycznego, a już z całą

pewnością artykuł kodeksu karnego, przewidujący karę za tzw. kłamstwo oświęcimskie. To jednak w mniejszym stopniu dotyczy konkretnego przejawu wolności wypowiedzi, jakim jest swoboda demonstracji.

W tym wypadku powinniśmy dążyć do kilku celów.

Po pierwsze – do zrównoważenia prawa do wyrażania poglądów z prawem obywateli do bezpieczeństwa. Tu oczywiście znów nie mamy stuprocentowo jasnej sytuacji. Pierwszy powód to taki, że – wbrew głosom niektórych po 11 listopada – organizatorzy żadnej manifestacji nie są w stanie stuprocentowo opanować tłumu, do którego mogą wszak dołączyć najrozmaitsze osoby. Organizatorzy musieliby dysponować nawet kilkuset ludźmi, którzy w dodatku musieliby posiadać uprawnienia policyjne. Im większy tłum i im bardziej masowa z założenia demonstracja – a taką był Marsz Niepodległości – tym większe prawdopodobieństwo, że znajdą się w niej osoby agresywne albo – tego także wykluczyć nie można – prowokatorzy, którym będzie zależało na podburzeniu tłumu albo spowodowaniu ataku sił porządkowych. **Czynienie organizatorów odpowiedzialnymi za każde takie wydarzenie i każdą osobę, która znajdzie się w tłumie, jest podejściem absurdalnym.** Załóżmy, że w trakcie takiej manifestacji ktoś strzela i kogoś zabija. Czy solidarnie z mordercą powinien pójść do więzienia organizator? Taki wniosek można by wyciągnąć z postulatu, aby organizatorzy byli odpowiedzialni za wszystko, co dzieje się na manifestacji.

Podobnie zastrzeżenia budzi stosowanie odpowiedzialności zbiorowej wobec zebranych – a tak zadziałała policja 11 listopada na Placu Konstytucji. Choć agresywnie zachowywała się bardzo ograniczona i łatwa do odizolowania grupa ludzi, siły porządkowe zaczęły w bardzo stanowczy (by nie rzec: agresywny) sposób spychać wszystkich z placu, w dodatku nie informując o tym, czy zgromadzenie jest nadal legalne i czy marsz się odbędzie. Na szczęście policja miała do czynienia z normalnymi, spokojnymi ludźmi, którzy wykonywali jej polecenia. W przeciwnym wypadku mogłoby się to źle skończyć.

Z drugiej jednak strony trzeba wyciągać wnioski z celów, jakie stawiają sobie oficjalnie organizatorzy. Wśród celów Marszu Niepodległości nie było żadnych działań ofensywnych wobec kogokolwiek. Przeciwnie – w odezwach organizatorów kładziony był bardzo silny nacisk na zachowanie porządku i spokoju. Inaczej rzecz się miała z „Kolorową niepodległą”, której jednym z oficjalnie deklarowanych celów było zablokowanie Marszu Niepodległości, czyli utrudnienie innym demonstrowania ich poglądów. Już samo to mogłoby być powodem do odmowy zarejestrowania takiego zgromadzenia. Tym bardziej, jeśli doda się pojawiające się na marginesie zachęty do „fizycznej” akcji wobec przeciwnika.

Po drugie – należy dążyć do ustalenia jak najmniejszej liczby czysto uznaniowych kryteriów, na podstawie których można by demonstracji zakazać. Nie jest takim kryterium z pewnością opisany wyżej zamiar zablokowania innej demonstracji – to sprawa jasna i jednoznaczna. Jest nim natomiast dowolne posądzanie kogokolwiek o niesłuszne poglądy – czyli zarzut, jaki wysuwała lewica wobec Marszu Niepodległości.

Aby uniknąć zarzutów wobec organu, rejestrującego demonstrację, że odmawiając jej kieruje się względami politycznymi i stosuje subiektywną miarę, być może należałoby tak zmienić procedurę, aby w każdym wątpliwym przypadku decyzja należała do sądu (już w pierwszym kroku, a nie tak jak dziś – na zasadzie odwołania organizatora od decyzji o odmowie rejestracji demonstracji).

Po trzecie – należy z jak największą nieufnością podchodzić do wszelkich zamiarów ograniczania prawa do swobody wypowiedzi, choćby wydawały się podyktowane najlepszymi chęciami. Dlatego byłoby dobrze, gdyby organizacje pozarządowe przyglądały się propozycjom zmian w Ustawie o zgromadzeniach równie wnikliwie, jak wcześniej propozycjom zmian ustawowych, które mogłyby doprowadzić do ograniczenia swobody wypowiedzi w innych formach.

Łukasz Warzecha

Łukasz Warzecha jest komentatorem "Faktu"

Foto: Damian Burzykowski ("Fakt")